

# Zbrodnicza miłość.

Z pamiętnika angielskiego detektywa.

5

Ciąg dalszy.

## XII.

Stąd skierowałem się prosto pod numer 17, jak tylko upewniłem się, że pani Bunbury już mnie nie obserwuje ze swego domu. Tę samą komendę z najęciem mieszkania powtórzyłem więc i tutaj.

Pod numerem 17 znalazłem właścicielkę skora do rozmowy, w podeszłym już wieku, na poły ociemniałą i prawie głuchą, co zresztą nie przeszkadzało wcale jej bujnej wymowie. Jak wiele osób jej podobnych, miała i ona „lepsze czasy“ i znajdowała przyjemność w ich opowiadaniu. Te „lepsze czasy“ bywają często bardzo problematyczne, lecz o ile obecne położenie wydaje się ciężkiem, o tyle one przedstawiają się niezwykle świetnie dla tych zwyciężonych w walce życiowej. Dama ta nazywała się Jessop i jak utrzymywała, była żoną pastora.

Zdziwiłem się, słysząc, że mieszkanie panny Raynell nie jest do wynajęcia. Przeraziłem się po prostu, gdym się dowiedział, że zajmuje je jeszcze...

— Wyjechała ona na kilka dni do Londynu — usłyszałem od pani Jessop — oczekuję jej jednak jeszcze w tym tygodniu.

Pani Jessop opowiedziała mi wszystko, nawet więcej, niż chciałem, o swoich lokatorach. Ciężko jednak było słuchać jej mowy, cierpiała bowiem na jakiś nerwowy kaszel, który co chwila przerywał jej słowa.

— Nie, mieszkanie to nie jest wolne — tłumaczyła mi. — Pani, która je zajmuje, wyjechała w swych interesach do Londynu. Pan ją zapewne zna, nie zadziwi to pana, gdy powiem, że panna Raynell pomimo swych licznych zalet jest czasem bardzo dziwną. Nie lubi, by ją nudzono, jak się sama wyraża. Niech pan nie sądzi, bym jej się nastęrczała ze swoją osobą, nie unikam jednak równych sobie, a zdaje mi się, że panna Raynell właśnie tak postępuje. Ponieważ uczyniłam już tę małą aluzję, nie więcej, jak tylko aluzję, dodam na swą obronę, że nie winna ona skarżyć się na mnie. Miałam i ja lepsze czasy i wiem, jak się trzeba zawsze zachować.

Zaczynałem pojmować, że pannie Raynell, choćby była największą dziwaczką, mogła wydawać się pani Jessop nudną. Przerwałem ten potok słów zapytaniem, czy siostrzeńcy panny Raynell mieszkali razem z nią. Musiałem powtórzyć te słowa kilka razy, zanim zostałem zrozumiany.

— Siostrzeńcy przychodzili ją odwiedzać, nawet bardzo często. Starszy, jak to panu zapewne wiadomo, jest wikaryuszem w miejscowym kościele, do którego nie lubię uczęszczać. Rodzina moja nigdy nie była przychylną dla papistów i mój mąż nieboszczyk mawiał często...

— A Patryk? — przeciąłem od razu jej wynurzenia.

— Patryk! Zdaje mi się, że ten młody człowiek istotnie tak się nazywał; był on cokolwiek za żywy, w obecnych jednak czasach cała młodzież jest taką. Patryk ma mały pokój, który czasami zajmuje, koło pokoju panny Raynell. Kręci się ciągle i nie zdaje się być zadowolonym ze swej ciotki. Ona jest dziwną i nie zawsze uprzejmą dla starszego siostrzeńca, który czyni na mnie jak najdotkliwsze wrażenie mimo swych skłonności ku papistom. Lecz jak mawiał zawsze mój drogi mąż...

— Czy Patryk Harvey powracał tutaj po wyjeździe swej ciotki?

— Nie panie. Mieszkanie to jest obecnie nie zajęte. Może chce je pan obejrzyć? Warte jest ono daleko więcej niż najlepszy apartament w Southend.

Przystąpiłem na to chętnie. W parterze znajdował się salon mile umeblowany i dość duży sypialny pokój, który przytykał do trzeciego, małego pokoiku.

— Mieszkanie to pozostało zupełnie w tym stanie, w jakim je opuściła panna Raynell. Wyjechała ona w poniedziałek, nie mówiąc mi nawet do widzenia, wyszła z domu wcześniej rano, pozostawiając kartkę na stole.

— Proszę pani — przerwałem nagle, patrząc jej prosto w oczy — nie przyszedłem tutaj na oglądanie mieszkania, lecz zupełnie w innym celu, jestem bowiem detektywem z Londynu. Panna

Raynell jest istotnie dziwaczką. Jak ją pani nazywała, wyjechała do Londynu, nie podając nawet siostrzeńcom swego adresu. Zrobiła, co chciała, lecz wskutek tego pozostawiła siostrzeńców w wielkim niepokoju o siebie. Pastor August Harvey polecił mi przedsięwziąć wszystko dla jej odszukania. Proszę więc o pokazanie mi kartki, jaką ta pani zostawiła.

— Co? co ja słyszę? na miłość Boga! — zawołała pani Jessop.

Tak ją to przestraszyło, iż zapomniała o swym kaszlu. Była jakby przytłoczona memi słowami, zdawało się jej, iż już ją prowadzą do więzienia. Natychmiast przyniosła mi tę kartkę. Na kawałku papieru, oddartego z jakiegoś dziennika były napisane drżącą ręką te słowa:

„Jadę na kilka dni do Londynu.

E. Raynell.

I więcej nic. Złożyłem we dwoje ten skrawek i schowałem go do portfela.

— Zmuszony jestem zatrzymać tę kartkę — rzekłem do niej — teraz proszę mi powiedzieć, czy ktokolwiek w tym domu widział pannę Raynell w poniedziałek rano. Naprzykład, czy pani ją widziała?

— Absolutnie nikt — odpowiedziała. — Nie mogę przecież zrywać się z łóżka o każdej porze nocy, by zadowolić kaprysy swych lokatorów. Pracuję ciężko cały dzień, daleko więcej, niż kiedykolwiek mogłam przypuszczać, w nocy więc śpię.

— Twierdzi więc pani, że nikt jej nie widział? Żadna służąca?

— Na razie mam tylko jedną służącą — mówiła pani Jessop, wstając z krzesła — niegdyś miałam trzy i jednego lokaja. Obecna służąca nie sypia w domu. Odchodzi co wieczór o dziewiątej godzinie, a przychodzi wcześniej rano. Jest to bardzo ekonomiczne, a przytem i pewniejsze...

— A innych lokatorów nie miała pani w domu?...

— Ani jednego. Lokatorzy z drugiego piętra przyjadą dopiero jutro.

— Kto był w domu w nocy z niedzieli na poniedziałek? Proszę o szczegóły tylko krótkie i dokładne — rzekłem, podnosząc głos i przybierając ostrą minę.

— Panna Raynell przez całą prawie niedzielę była sama. Rano poszła do kościoła św. Eugeniusza, tutaj obok. Kościół ten, jak mówił mój drogi mąż...

— Proszę o krótkie informacje — zawołałem ostro.

— Po południu przyszedł do niej siostrzeniec August. Sprzecali się, przynajmniej ona mówiła mu rzeczy niemiłe. Muszę powiedzieć to na korzyść pastora Harveya, że nigdy nie mówi źle o swojej ciotce, natomiast odzywa się o niej z wielką słodyczą. Ona traktuje go źle, ostro, jak również i jego brata, tylko ten drugi siostrzeniec nigdy nie pozostaje jej dłużny i odplaca się równą szorstkością. Obiad jadła sama, wieczorem przyszedł na pół godziny August. Zaszła między nimi nowa scena, tak przynajmniej utrzymuje służąca; sama za głucha jestem, by słyszeć. Gdy pastor poszedł na wieczorne nabożeństwo, panna Raynell czytała w salonie dzienniki, poczem o dziesiątej położyła się spać. To wszystko, co wiem o niej. W poniedziałek rano wyszła z domu o siódmej godzinie, by zdążyć na pierwszy pociąg; służącej jeszcze nie było. Słyszałam, jak zamykała za sobą drzwi.

— Czy pani widziała, jak wychodziła?

— Nie.

— Czy zwykle wychodziła niepostrzeżona przez nikogo?

— Niestety tak. Przed śniadaniem chodzi na spacer nad morze. Zdaje mi się, że jada śniadanie o ósmej godzinie, tak zimą, jak i latem. Zawsze wieczorem przynosi się jej szklankę mleka do salonu, które wypija z biszkoptem.

— Czy w poniedziałek rano szklanka była próżna?

— Nie, ona nie powróciła.

— Ale czy szklanka była próżna w poniedziałek rano?!

— Tak, tak, próżna.

Zawahałem się chwilę.

Zabójca musiał wypić, pomyślałem. Nie jest to pospolity zbrodniarz ten Patryk Harvey?

— A kiedy był tutaj po raz ostatni Patryk Harvey?

— Patryk Harvey? zaraz powiem; spał on tutaj z niedzieli na poniedziałek.

Wiadomość ta przejęła mnie.

— Przyszedł tutaj po raz ostatni w sobotę, było to wieczorem koło pół do dziesiątej. Sama

mu otwierałam, gdyż służąca przed chwilą już wyszła.

— A kiedy opuścił dom?

— Co? o co pan się pyta?

— O której godzinie wyszedł w poniedziałek? — Zazwyczaj wstaje nie bardzo wcześnie, tego jednak dnia musiał się pospieszyć. O dziewiątej pojechał już do Londynu.

— Czy sam?

— Nie, z bratem, który był tutaj rano; zjedli razem śniadanie i pojechali dorożką.

— Z bagażami?

— Tak, z walizką i z dużym czarnym kufrem do książek, jak mi mówił.

— Z książkami? Dziwi mnie to bardzo, bo sądząc z tego, co pani o nim mówi, nie bardzo on chyba lubiał czytać.

— Proszę pana, on ma swój czas do zabawy i czas do pracy. Jest studentem medycyny, jak mi się zdaje i posiada w swym pokoju dość dużo książek.

— A czy może on wychodzić i przychodzić, kiedy mu się podoba?

— Tak. Przykro mi bardzo, lecz muszę się przyznać, że panna Raynell ma klucz od domu. Jej tylko jednej pozwoliłam na to, dodać jednak muszę na swoją obronę, iż pani tej trudno oprzeć się. Płaciła mi zresztą zato oddzielnie.

— Ile pani dawała za ten przywilej?

— Pięć szylingów tygodniowo, obawiam się jednak, czy i siostrzeńcy nie korzystali z tego klucza.

— Była więc ona skłonna do ustępstw?

— Ach, proszę pana, raz była serdeczną, to znowu złośliwą; kto ją mógł poznać?

Rozmowa ta była dość nużąca, gdyż starej damie trzeba było każde pytanie powtarzać po kilka razy. Jakoś jednak zdołałem rozmówić się, przez co zebrałem sporo nowych faktów. Pozwoliło mi to uprzytomnić sobie całą scenę morderstwa.

Posłałem także po służącą, by ją zbadać, okazało się to jednak zbyt bezcelne. Nic nie wiedziała, gdyż w niedzielę wieczorem wyszła przed przybyciem Patryka, a na drugi dzień przybyła już po mniemanym wyjeździe panny Raynell. Dowiedziałem się tylko od niej, że czarny kufer był bardzo ciężki. Dorożkarz kłął strasznie, niosąc go. Patryk tłumaczył:

— Tak, jest on ciężki, pełno w nim różnych książek.

Na znak dzwonka przyniosła ona o pół do dziewiątej śniadanie Patrykowi, a w pół godziny później otwierała drzwi pastorowi, który przyszedł do brata. Gdy weszła ze śniadaniem, Patryk wstał już i był ubrany. Pastor zapytywał o swą ciotkę, na co służąca odpowiedziała mu, iż wyjechała pierwszym pociągiem do Londynu.

Gdy znajdowała się w pokoju, słyszała, jak August Harvey pytał się brata: „kufer już zapakowałeś?“ a Patryk odpowiedział: „o już, ani jednej książki nie znajdziesz już w mieszkaniu. Cięższe się, że znalazłeś klucz, bo cobyśmy robili bez niego?“ W pół godziny potem zawołali dorożkę. Obaj panowie wynieśli kufer z pokoju i pomagali ustawić go w dorożce, poczem Patryk kazał jechać na dworzec. Potem nikt już w domu nie słyszał nic ani o obu braciach, ani o ich ciotce.

Wyraziłem chęć obejrzenia pokoi sypialnych. Pokój panny Raynell wydał mi się bardzo czystym i porządnym, znać jednak było, iż lokatorka opuściła go niespodzianie. Wszystkie przedmioty, stanowiące jej własność, bielizna i przybory toaletowe były rozłożone.

— Nie wie pani, czy przypadkiem nie brak kapelusza i szala panny Raynell? — zapytałem właścicielki.

Pani Jessop nie mogła dać mi żadnej odpowiedzi, służąca tylko zapewniała, że panna Raynell posiada dwa kapelusze, wizytowy i spacerowy. W szufladzie znaleźliśmy oba te kapelusze, czemu się one bardzo dziwiły.

— Co to znaczy? — zawołała służąca — w takim razie panna Raynell wyjechałaby bez kapelusza!

— Proszę jednak przypomnieć sobie dobrze — odezwałem się szorstko — bo zdaje mi się, że błędnie mnie pani poinformowała. Panna Raynell miała zapewne jeszcze jeden kapelusz.

— Nigdy u niej innego nie widziałam, oprócz tych dwóch.

Pokój Patryka nie przedstawiał nic interesującego. Był dość pusty, gdyż zabrał z sobą wszystkie swe rzeczy. Powróciłem następnie do pokoju panny Raynell. W murze znajdowała się szafa, którą, gdym otworzył, znalazłem wypełnioną